ZADIE SMITH

O PIĘKNIE

znak

ZADIE SMITH

przekład Zbigniew Batko

O PIĘKNIE

Wydawnictwo Znak · Kraków 2011

1

Można by zacząć od maili Jerome'a do ojca.

Do: HowardBelsey@fas.Wellington.edu
Od: Jeromeabroad@easymail.com
Data: 5 listopada
Temat:

Cześć, Tato – właściwie zamierzam ciągnąć z tymi mailami – nie spodziewam się wprawdzie odpowiedzi, ale jednak nie tracę nadziei, że kiedyś odpowiesz, o ile w tym jest w ogóle jakiś sens.

No więc ogólnie jestem naprawdę zadowolony. Pracuję w biurze Monty'ego Kippsa (czy wiesz, że tak naprawdę Monty to sir Monty?), które znajduje się w okolicy Green Park. Jest nas tam dwoje, ja i Emily, dziewczyna z Kornwalii, bardzo fajna. Na dole urzęduje jeszcze troje praktykantów ze Stanów (jeden z Bostonu!), a więc czuję się tu całkiem swojsko. Ja jestem kimś w rodzaju praktykanta z obowiązkami osobistego asystenta – organizuję lunche, prowadzę dokumentację, odbieram telefony, te rzeczy. Monty zajmuje się nie tylko sprawami akademickimi: współpracuje z Komitetem ds. Rasowych i prowadzi

kościelną działalność dobroczynną w placówkach na Barbados, Jamajce, Haiti itd. – tak, że ciągle mam coś do roboty. Biuro jest małe, a więc siłą rzeczy współpracuję z nim bardzo blisko i oczywiście mieszkam teraz z jego rodziną, co oznacza zupełnie nową sytuację. Ach, ta rodzina. Nie zareagowałeś, więc mogę sobie wyobrazić, jakie to zrobiło na tobie wrażenie (a nietrudno to sobie wyobrazić). Prawdę mówiąc, przynajmniej w tej chwili jest to najkorzystniejsza opcja. To, że mi zaproponowali dach nad głową, było niezwykle uprzejme z ich strony. Zostałem wyeksmitowany z kawalerki w Marylebone. Kippsowie nie mają wobec mnie żadnych zobowiązań, ale zapytali, czy nie przeniósłbym się do nich, a ja przyjąłem ich ofertę z wdzięcznością. Mieszkam u nich już od tygodnia, a jeszcze nie wspomnieli o żadnym czynszu, co powinno dać Ci o nich pewne wyobrażenie. Wiem, że wolałbyś, żebym powiedział, że to koszmar, ale nie mogę – jestem wprost zachwycony tą nową sytuacją. To jest inny świat. Dom jest, ach, wczesnowiktoriański, z tarasem, od zewnątrz wygląda niepozornie, ale od środka jest ogromny, choć mimo wszystko jest w nim pewna prostota, która do mnie przemawia – prawie wszystko jest białe i mnóstwo tu różnych ręcznych wyrobów, kołder, półek z ciemnego drewna, karnesów, są też cztery kondygnacje schodów – i w całym domu tylko jeden telewizor, zresztą w piwnicy, tylko po to, żeby Monty mógł trzymać rękę na pulsie i śledzić swoje wystąpienia w telewizji – ale to wszystko. Czasami myślę o tym domu jako o negatywie naszego... Siedziba Kippsów usytuowana jest w tej części północnego Londynu, która nazywa się „Kilburn", co brzmi bukolicznie, ale naprawdę nie ma tu nic bukolicznego, z wyjątkiem atmosfery ulicy, przy której my mieszkamy, z dala od głównej „arterii". Bywa tak, że panuje absolutna cisza, można siedzieć na podwórzu w cieniu olbrzymiego drzewa – wysokiego na osiemdziesiąt stóp i z pniem oplecionym bluszczem... czytać i czuć się jak postać z powieści... Jesień jest

tu inna – znacznie mniej efektowna, drzewa tracą liście wcześniej – a wszystko jakieś bardziej melancholijne.

Rodzina to całkiem odrębny temat – zasługują na to, by poświęcić im więcej miejsca i czasu, niż mogę w tej chwili (piszę to w porze lunchu). Ale w skrócie: jeden chłopiec, Michael, miły, wysportowany. Chyba trochę nudny. W każdym razie tak ty byś o nim powiedział. Jest biznesmenem, choć o jaki chodzi biznes, nie mogę dociec. I jest wielki! Wyższy od Ciebie o co najmniej dwa cale. Oni wszyscy są wielcy, atletyczni jak to ludzie z Karaibów. Michael ma chyba ze sześć stóp i pięć cali. Jest także bardzo wysoka i piękna córka, Victoria, którą widziałem tylko na zdjęciach (podróżuje teraz po Europie), ale zdaje się, że wraca na krótko w piątek. Żona Monty'ego, Carlene – po prostu ideał. Ale nie jest z Trynidadu, tylko z małej wysepki, St coś tam – nie jestem pewien. Nie dosłyszałem, kiedy wymieniła tę nazwę po raz pierwszy, a teraz jest trochę za późno, żeby pytać. Wciąż próbuje mnie utuczyć – bez przerwy mnie podkarmia. Reszta rodziny rozprawia o sporcie, Bogu i polityce, a Carlene unosi się nad tym wszystkim jak jakiś anioł – i pomaga mi modlitwą. A modlić się umie – i to bardzo fajnie móc się modlić, kiedy nie kręci się nikt z rodziny i kiedy nie ma (a) puszczania bąków, (b) wrzasków, (c) analizowania „tandetnej metafizyki" modlitwy, (d) głośnych śpiewów, (e) śmiechów.

Tyle o Carlene Kipps. Powiedz mamie, że piecze ciasta. Powiedz jej to po prostu i zachichocz...

A teraz posłuchaj uważnie: rano CAŁA RODZINA KIPPSÓW je razem śniadanie, rozmawia, a potem wsiada RAZEM do samochodu (czy zanotowałeś?) – wiem, wiem – trudno to pojąć. Nigdy nie widziałem rodziny, która by chciała spędzać ze sobą tyle czasu.

Piszę to wszystko z nadzieją, że zrozumiesz, iż ta cała wasza wojna klanów, czy cokolwiek to jest, to kompletna strata czasu. Tak to zresztą wygląda tylko z Twojej strony – Monty nie prowadzi żadnej wojny.

Nigdy się tak naprawdę nie poznaliście – było tylko mnóstwo publicznych debat i głupich listów. To takie beznadziejne marnowanie energii. Większość okrucieństwa na świecie bierze się z takiej niewłaściwie ukierunkowanej energii. No, ale muszę już iść – obowiązki wzywają!

Serdeczności dla mamy i Leviego, chłodniejsze dla Zory.

I pamiętaj: kocham Cię, Tato (i modlę się za Ciebie).

Ha, to najdłuższy mail, jaki w życiu napisałem!

Jerome XXOXXXX

Do: HowardBelsey@fas.Wellington.edu
Od: Jeromeabroad@easymail.com
Data: 14 listopada
Temat: Cześć, to znowu ja

Tato,

Dziękuję za przesłane szczegóły na temat dysertacji – czy mógłbyś zadzwonić do Brown College i dowiedzieć się o numer wewnętrzny wydziału? Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego Zora studiuje w Wellington... Znacznie łatwiej zawalać wszelkie terminy, kiedy tato jest wykładowcą ☺ Przeczytałem Twoje dowcipne pytanie, a potem jak głupi szukałem jakiegoś załącznika (na przykład listu???), ale domyślam się, że jesteś zbyt zajęty/wściekły/itd., żeby napisać. Ale ja nie jestem. Jak idzie praca nad książką? Mama mówi, że masz z nią problemy. Czy znalazłeś jakiś sposób, żeby dowieść, że Rembrandt jednak jest nie najlepszy? ☺

Kippsowie nie przestają mnie fascynować. We wtorek wybraliśmy się całą gromadą do teatru (klan jest teraz w komplecie), żeby obejrzeć południowoafrykański zespół baletowy, a potem w metrze zaczęliśmy

nucić jedną z melodii z widowiska, co przerodziło się w chóralny śpiew pełną piersią, z Carlene jako główną wokalistką (ma fantastyczny głos) i nawet Monty się przyłączył, bo wcale nie jest „psychotycznym, nienawidzącym samego siebie typem", za jakiego go uważasz. To było naprawdę urocze: te śpiewy i pociąg pędzący nad ziemią, a potem marsz wśród chlapy do pięknego domu i domowe jedzenie, curry z kurczaka. Ale już widzę Twoją minę, więc lepiej na tym zakończę.

Inne wieści: Monty uderzył precyzyjnie w jedną z głównych słabości Belseyów: brak logiki w rozumowaniu. Próbował mnie uczyć grać w szachy i dziś po raz pierwszy od tygodnia nie udało mu się mnie pokonać w sześciu ruchach, choć oczywiście i tak przegrałem. Wszyscy Kippsowie uważają, że mam mętlik w głowie i poetyckie usposobienie – nie wiem, co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że wśród Belseyów uchodzę za istnego Wittgensteina. Choć myślę, że bawię ich i Carlene lubi, kiedy dotrzymuję jej towarzystwa w kuchni, gdzie moje zamiłowanie do czystości postrzegane jest raczej jako coś pozytywnego, a nie objaw sztywniactwa i pedanterii... Muszę jednak przyznać, że czuję dreszczyk, kiedy budzę się rankami w ciszy (na dole w holu SZEPCZĄ, żeby nie budzić innych), mój grzbiet tęskni za skręconym mokrym ręcznikiem Leviego, a ucho nie wie, co z sobą zrobić, nie słysząc wrzasków Zory. Mama zawiadomiła mnie mailem, że Levi powiększył liczbę nakryć głowy do czterech sztuk (mycka, bejsbolówka, kaptur od bluzy, kaptur od kurtki), dodając do tego słuchawki – tak że teraz widać tylko skrawek twarzy wokół oczu. Ucałuj go ode mnie. Ucałuj też mamę i pamiętaj, że za tydzień od jutra są jej urodziny. Ucałuj Zorę i poproś ją, żeby przeczytała rozdział 24 z Mateusza. Wiem, jak uwielbia codzienną porcyjkę Pisma Świętego.

Mnóstwo serdeczności, pokój z Wami.

Jerome xxxxx

PS Odpowiedź na Twoje „uprzejme pytanie" brzmi tak... pomimo Twojej wyczuwalnej ironii informuję, że jest mi z tym całkiem dobrze, dzięki... dwadzieścia lat to naprawdę nie jest dzisiaj dla młodych ludzi „zaawansowany" wiek, zwłaszcza jeśli postanowili oddać się w służbę Jezusowi. To niesamowite, że pytasz o to właśnie Ty, bo wczoraj, idąc przez Hyde Park, myślałem o tym, jak to straciłeś głowę dla kogoś, kogo wcześniej nie spotkałeś i nie miałeś nadziei spotkać w przyszłości. Nie, bynajmniej mnie nie korci, żeby powtórzyć coś podobnego...

Do: HowardBelsey@fas.Wellington.edu
Od: Jeromeabroad@easymail.com
Data: 19 listopada
Temat:

Szanowny Doktorze Belsey!

Nie mam pojęcia, jak Pan przyjmie tę wiadomość! Jesteśmy zakochani! Córka Kippsów i ja! Zamierzam ją poprosić o rękę, Tato! I myślę, że powie „tak"!!! Kumasz, co znaczą te wykrzykniki? Ma na imię Victoria, ale wszyscy nazywają ją Vee. Jest zdumiewająca, fantastyczna, olśniewająca. „Oficjalnie" oświadczę się jej dziś wieczorem, ale chciałem, żebyś wiedział pierwszy. Spadło to na nas jak Pieśń Salomona i nie da się wytłumaczyć inaczej, jak tylko jako coś w rodzaju wzajemnego objawienia. Przyjechała tu zaledwie tydzień temu – wygląda to na jakieś wariactwo, ale jest faktem!!! Mówiąc poważnie: jestem szczęśliwy. Weź, proszę, podwójne valium i poproś mamę, żeby do mnie napisała najszybciej jak się da. Nie mam już impulsów na karcie, a nie chcę korzystać z ich aparatu.

Jxx

2

– Co to jest, Howard? Co to ma być?

Howard Belsey pokazał swojej amerykańskiej żonie, Kiki Simmonds, odpowiedni fragment wydrukowanego maila. Oparła się łokciami na stole po obu stronach kartki i opuściła głowę, tak jak to robiła zawsze, kiedy koncentrowała wzrok na drobnym druku. Howard odszedł na drugi koniec kuchni, żeby wyłączyć gwiżdżący czajnik. Rozbrzmiewała tylko ta jedna, wysoka nuta – reszta była milczeniem. Jedyna córka Belseyów, Zora, siedziała na stołku, tyłem do pokoju, ze słuchawkami na uszach, wpatrując się z namaszczeniem w ekran telewizora. Levi, najmłodsze z ich dzieci, stał obok ojca przed kuchennymi szafkami. W pewnej chwili zaczęli jeść śniadanie bez słowa, z choreograficzną precyzją, podając sobie pudło z płatkami, wymieniając dodatki, napełniając miseczki i nalewając mleko z różowego porcelanowego dzbanka ze słonecznożółtym brzegiem. Okna kuchni wychodziły na południe. Światło padające przez podwójne przeszklone drzwi do ogrodu i przez łuk dzielący kuchnię na dwie części lądowało łagodnie na martwej naturze, jaką przedstawiała sobą Kiki siedząca przy kuchennym stole, znieruchomiała, zaczytana. Przed nią stała portugalska misa

z ciemnoczerwonej gliny, w której piętrzył się stos jabłek. O tej porze światło słoneczne sięgało dalej, za stół kuchenny, docierając do holu i do mniejszego z dwóch salonów. Tutaj półka zapełniona starymi książkami w miękkich okładkach dotrzymywała towarzystwa zamszowemu siedzisku i otomanie, na której Murdoch, jamnik Belseyów, wylegiwał się wyciągnięty w promieniach słońca.

– To jakiś żart? – zapytała Kiki, ale nie uzyskała odpowiedzi.

Levi kroił truskawki, płukał je i wrzucał do miseczek. Zadaniem Howarda było wychwytywanie ogonków i wrzucanie do śmieci. W chwili, gdy kończyli to zajęcie, Kiki odjęła ręce od skroni, odwróciła kartkę i zaśmiała się cicho.

– Śmieszy cię to? – zapytał Howard, podchodząc do śniadaniowego baru i opierając się o blat. W odpowiedzi twarz Kiki zamieniła się w kamienną czarną maskę. Był to ów wyraz twarzy sfinksa, który skłaniał czasami jej amerykańskich przyjaciół do przypisywania jej bardziej egzotycznego pochodzenia niż rzeczywiste. Bo w rzeczywistości Kiki pochodziła z prostej rodziny z prowincjonalnych regionów Florydy.

– Może by tak odrobina powagi, kochanie – zaproponowała. Sięgnęła po jabłko i pokroiła je nożykiem z przezroczystym trzonkiem, dzieląc na nieregularne ćwiartki. Potem zaczęła je powoli zjadać, jedną po drugiej.

Howard odgarnął oburącz włosy z czoła.

– Przepraszam... ja tylko... zaśmiałaś się, więc pomyślałem, że jest w tym może coś zabawnego.

– A jak miałam zareagować?– zapytała zniecierpliwiona Kiki. Odłożyła nożyk i wyciągnęła rękę do Leviego, który przechodził akurat obok niej z miseczką. Chwyciwszy swego piętnastoletniego syna za pasek dżinsów, bez trudu przyciągnęła go do siebie, zmuszając go, aby przysiadł i by mogła wetknąć metkę jego ko-

szykarskiej bluzy za kołnierz. Potem zahaczyła kciukami o bokserki, aby i tam coś poprawić, ale chłopak wyrwał się jej.

– O rany, mamo!

– Levi, kochanie, podciągnij je trochę... tak je nisko opuściłeś... cały tyłek masz odkryty.

– A więc to nie jest zabawne – rzekł Howard. Takie drążenie sprawy bynajmniej go nie bawiło, ale mimo to zamierzał być konsekwentny, nawet jeśli pierwotnie chciał przyjąć inną taktykę, zdając sobie sprawę z tego, że ich rozmowa to droga donikąd.

– O Boże, Howard – westchnęła Kiki. Odwróciła się w jego stronę. – Możemy to chyba załatwić za piętnaście minut, prawda? Kiedy dzieci będą... – Uniosła się lekko w krześle, słysząc zgrzyt zamka we frontowych drzwiach, a po chwili jeszcze jeden. – Zoor, kochanie, idź otwórz drzwi, proszę, bolą mnie dziś kolana. Ona nie może wejść, musisz jej pomóc...

Zora, pogryzając grzankę w kształcie kieszonki wypełnionej serem, wskazała na telewizor.

– Zora, idź tam natychmiast, bardzo cię proszę, to ta nasza nowa pomoc, Monique – jej klucz nie wiadomo czemu nie pasuje – zdaje się, że prosiłam cię, żebyś dorobiła jej zapasowy – nie mogę tu sterczeć cały dzień i czekać na nią w domu. Zoor, ruszże wreszcie tyłek...

– To już drugi tyłek dzisiejszego poranka – zauważył Howard. – Jakie to miłe. Jakie cywilizowane.

Zora zsunęła się ze stołka i ruszyła przez hol w stronę frontowych drzwi. Kiki znów obrzuciła męża badawczym, pytającym spojrzeniem, na co zareagował najbardziej niewinną miną, na jaką mógł się zdobyć. Podniosła list nieobecnego syna, sięgnęła po zawieszone na łańcuszku okulary spoczywające na imponującym biuście i ulokowała je na czubku nosa.

– Musisz to przyznać – mruknęła, czytając powtórnie list. – Ten chłopak nie jest głupi... kiedy chce zwrócić na siebie twoją uwagę, wie, jak tego dopiąć – powiedziała, rzucając Howardowi spojrzenie i oddzielając sylaby jak kasjer w banku odliczający banknoty. – Córka Monty'ego Kippsa. No i proszę. Nagle się zainteresowałeś.

Howard zmarszczył brwi.

– A więc tylko tyle masz do powiedzenia.

– Howard, na kuchence gotuje się jajko, nie wiem, kto je nastawił, ale woda już całkiem wyparowała i paskudnie śmierdzi. Wyłącz gaz, proszę cię.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

Howard przyglądał się, jak jego żona nalewa sobie spokojnie trzecią szklankę soku pomidorowego. Podniosła ją do ust, ale nagle znieruchomiała.

– Doprawdy, Howie – rzekła. – On ma dwadzieścia lat. Potrzebuje zainteresowania taty i zdobywa je. Weźmy choćby tę praktykę u Kippsa – istnieje przecież milion innych praktyk, które mógłby odbyć. A teraz ślub z najmłodszą Kippsów? Tu nie trzeba freudowskiej psychoanalizy. Uważam, że najgorsze, co możemy zrobić, to traktować to poważnie.

– Kippsów? – zapytała głośno Zora, wracając z holu. – Co się stało? Jerome się do nich wprowadził? To jest chore... ten zestaw: Jerome–Monty Kipps. – Nakreśliła sylwetki dwóch wyimaginowanych mężczyzn po lewej i po prawej stronie i powtórzyła, wzdrygając się komicznie: – Jerome–Monty Kipps. Pod jednym dachem.

Kiki wypiła sok duszkiem i z impetem odstawiła pustą szklankę.

– Dość o Montym Kippsie, mówię poważnie. Nie chcę więcej słyszeć tego nazwiska, jak Boga kocham. – Spojrzała na zegarek.

– O której masz zajęcia? Dlaczego w ogóle jeszcze jesteś tutaj, Zoor? Dlaczego – tu – jeszcze – jesteś? Ach, dzień dobry, Monique. – Ostatnie zdanie wypowiedziała zmienionym, oficjalnym tonem pozbawionym charakterystycznej dla przybyszów z Florydy śpiewności. Monique zamknęła za sobą drzwi i podeszła bliżej.

Kiki posłała jej zmęczony uśmiech.

– Tu dziś prawdziwy obłęd. Wszyscy już są spóźnieni. Co słychać, Monique? Wszystko w porządku?

Monique, nowa sprzątaczka, była przysadzistą Haitanką w wieku Kiki, o jeszcze ciemniejszej karnacji. Dziś przyszła dopiero drugi raz. Miała na sobie amerykańską kurtkę wojskową z przenicowanym futrzanym kołnierzem i taki wyraz twarzy, jakby z góry przepraszała za jakieś przewinienie, którego jeszcze nie popełniła. Całość była dla Kiki jeszcze bardziej poruszająca i trudna do zniesienia z powodu treski Monique: taniej przypinki z pomarańczowych sztucznych włosów, która wymagała odświeżenia, a dziś, przyczepiona cienkimi niteczkami do rzadkich włosów naturalnych, zjechała jeszcze dalej na tył głowy niż zwykle.

– Mam zacząć tutaj? – zapytała nieśmiało Monique. Jej ręka gmerała koło suwaka kurtki, ale wciąż go nie rozpinała.

– Właściwie mogłabyś zacząć od gabinetu – m o j e g o gabinetu – powiedziała pośpiesznie Kiki, żeby ubiec Howarda, który właśnie otwierał usta. – Dobrze? Tylko proszę, nie ruszaj papierów – po prostu złóż je na jeden stos.

Monique stała bez ruchu, wciąż majstrując przy suwaku. Kiki znów znalazła się w tej niezręcznej sytuacji, która zmuszała ją do nerwowych rozważań, co też myśli ta czarna kobieta o innej czarnej kobiecie, która płaci jej za sprzątanie.

– Zora cię zaprowadzi – Zora, pokaż, proszę, Monique, gdzie jest gabinet.

Zora zaczęła wchodzić na górę po trzy stopnie naraz, Monique ruszyła ociężale za nią. Howard wynurzył się z tła na proscenium.

– Jeśli to się stanie – powiedział ze stoickim spokojem między dwoma łykami kawy – Monty Kipps będzie spowinowacony. Z nami. Nie z kim innym. Będzie naszym powinowatym.

– Howard – odparła Kiki równie opanowanym głosem. – Tylko proszę bez tych twoich stałych zagrań. Nie jesteśmy na scenie. Powiedziałam już, że nie chcę o tym teraz rozmawiać. I w i e m, że mnie słyszałeś.

Howard skłonił się lekko.

– Levi potrzebuje pieniędzy na taksówkę. Jeśli już musisz się o coś martwić, to martw się raczej o to. Nie martw się o Kippsów.

– Kippsów? – zawołał niewidoczny Levi. – Jakich Kippsów? Co to za jedni?

Podrabiany brookliński akcent nie pochodził ani od Howarda, ani od Kiki i pojawił się u Leviego przed trzema laty, kiedy chłopiec skończył dwanaście lat. Jerome i Zora urodzili się w Londynie, Levi w Ameryce. Ale wszystkie ich amerykańskie akcenty wydawały się Howardowi jakieś sztuczne – na pewno nie wynieśli ich z domu ani nie nabyli ich od jego żony. Żaden jednak nie był tak niewytłumaczalny, jak akcent Leviego. Brooklyn? Belseyowie mieszkali dwieście mil na północ od Brooklynu. Choć żona ostrzegała Howarda, żeby się powstrzymał, korciło go, by akurat tego ranka skomentować ten fakt, ale Levi, który wynurzył się z holu rozbroił ojca swoim szerokim uśmiechem, po czym odgryzł kawałek trzymanej w dłoni mufinki.

– Levi, kochanie – bardzo bym chciała wiedzieć, czy ty sobie zdajesz sprawę, kim ja jestem? Czy zwracasz w ogóle uwagę na to, co się tutaj dzieje? Pamiętasz Jerome'a? Twojego brata? Nie-

obecnego Jerome'a? Jerome'a, który przepłynął wielki ocean i jest teraz w miejscu zwanym Anglią?

Levi trzymał w ręce buty. W odpowiedzi na sarkastyczny ton matki potrząsnął nimi, usiadł nachmurzony i zaczął je wkładać.

– No to co? Co z tego? Czy muszę znać jakichś Kippsów? Nic nie wiem o żadnych Kippsach.

– Jerome – jazda do szkoły!

– To teraz jestem też Jerome?

– Levi, jazda do szkoły.

– Ludzie, dlaczego wy wszyscy musicie być tacy... Ja tylko pytam, a wy wszyscy od razu... – Tu Levi zrobił nieokreśloną minę, która bynajmniej nie wyjaśniała, jak zamierzał skończyć zdanie.

– Mówię o Montym Kippsie. Człowieku, u którego pracuje twój brat w Anglii – powiedziała z rezygnacją Kiki. Howard przyglądał się z zainteresowaniem, jak Levi wykorzystuje swą przewagę, kontrując żrącą ironię matki czymś dokładnie przeciwnym.

– No widzicie? – rzekł chłopak takim tonem, jakby tylko dzięki jego wysiłkom mogły zapanować w domu atmosfera przyzwoitości i poczucie sensu. – I czy to takie trudne?

– A więc to list od Kippsa? – zapytała Zora, schodząc z góry i stając za plecami matki. W tej pozie, kiedy córka pochylała się nad matką, przypominały Howardowi dwie pulchne nosicielki wody z obrazu Picassa. – Bardzo cię proszę, tato, tym razem muszę pomóc ci odpowiedzieć – zniszczymy go wspólnymi siłami. Gdzie to się ma ukazać? W „Republice"?

– Nie. Nie, to nie ma z tamtą sprawą nic wspólnego, list jest właściwie od Jerome'a. Żeni się – powiedział Howard. Odwrócił się zamaszyście, aż rozchyliły się poły szlafroka, i podszedł do przeszklonych drzwi do ogrodu. – Z córką Kippsa. Najwidoczniej to bardzo zabawne. Twoja mama tak uważa.

– Nie, skarbie – powiedziała Kiki. – Ustaliliśmy chyba przed chwilą, że n i e uważam tego za zabawne. Nie sądzę, abyśmy wiedzieli, co się dzieje, to mail złożony z siedmiu linijek. Nie wiemy nawet, co to znaczy, a ja bynajmniej nie zamierzam dociekać...

– On to pisze poważnie? – przerwała jej Zora. Wyszarpnęła kartkę z rąk matki i zbliżyła ją do swych oczu krótkowidza. – To chyba jakiś pieprzony żart?

Howard oparł czoło o grubą szybę, poczuł, jak skroplona para nawilża mu brwi. Na zewnątrz wciąż padał demokratyczny śnieg Wschodniego Wybrzeża, zrównując ogrodowe krzesła z ogrodowymi stołami, roślinami, skrzynkami pocztowymi i słupkami ogrodzenia. Howard wypuścił obłoczek pary w kształcie grzyba i przetarł szybę rękawem.

– Zora, masz chyba zaraz zajęcia? I naprawdę nie musisz używać tego języka w moim domu. „Hup! Hap! Nap! Nie!" – powiedziała Kiki, zakrzykując córkę, która usiłowała coś tłumaczyć. – Okej? Zaprowadź Leviego na postój, ja nie mogę go dziś odwieźć do szkoły. Zapytaj ewentualnie Howarda, czyby go nie podrzucił, ale raczej na to nie wygląda. A ja zatelefonuję do Jerome'a.

– Nie musicie mnie podrzucać – powiedział Levi. Howard dopiero teraz zobaczył syna i nowy szczegół w jego stroju: cienką, czarną damską pończochę naciągniętą na głowę i związaną z tyłu niedbale w węzeł z małym, przypominającym sutek cyckiem na samym czubku.

– Nie zatelefonujesz do niego – powiedział Howard spokojnie. Przezornie usunął się rodzinie z oczu i stanął po lewej stronie imponującej lodówki. – Karta mu się skończyła.

– Co powiedziałeś? – zapytała Kiki. – Powtórz, bo nie słyszę.

Nagle znalazła się tuż za nim.

– Gdzie jest numer telefonu Kippsów? – zapytała, choć oboje znali odpowiedź.

Howard milczał.

– Och, racja – przypomniała sobie Kiki. – Jest w notesie, który został w Michigan, podczas tej sławetnej konferencji, kiedy to miałeś na głowie ważniejsze sprawy niż żona i rodzina.

– Czy możemy teraz do tego nie wracać? – zapytał Howard. Kiedy człowiek jest winny, pozostaje mu tylko prosić o odroczenie kary.

– Nieważne, Howard. Tak czy inaczej, to ja będę musiała jak zwykle ponosić konsekwencje twoich posunięć, więc...

Howard walnął pięścią w lodówkę.

– Bardzo cię proszę, Howard, nie rób tego. Drzwi się otworzyły i... wszystko się rozmrozi, dopchnij je porządnie, porządnie, bo... Okej. To prawdziwe nieszczęście. To znaczy, jeśli to wszystko jest prawdą, czego nie wiemy. Musimy to teraz prześledzić krok po kroku, żeby się dowiedzieć, co się tam, do diabła, naprawdę dzieje. A więc zakończmy na tym i, sama już nie wiem, porozmawiamy może wtedy, kiedy będziemy... no, przede wszystkim, kiedy Jerome będzie tutaj i rzeczywiście będzie o czym rozmawiać, zgoda? Zgoda?

– Przestańcie się kłócić – jęknął Levi z drugiego końca kuchni, a potem powtórzył to jeszcze raz, głośniej.

– My się nie kłócimy, skarbie – powiedziała Kiki, wyginając się w biodrach. Wysunęła głowę do przodu i uwolniła z płomienistoczerwonego zawoju swe włosy splecione w dwa grube, sięgające pośladków warkocze, które wyglądały jak wyprostowane baranie rogi. Nie podnosząc wzroku, wyrównała materiał po obu stronach, ponownie odrzuciła głowę do tyłu, okręciła ją dwukrotnie i zawiązała zawój dokładnie w ten sam sposób, tyle że

ciaśniej. Wszystko podniosło się o cal, a Kiki, oparłszy się o stół, zwróciła swe nowe, władcze oblicze ku dzieciom.

– No dobrze, koniec przedstawienia. Zoor, w doniczce obok kaktusa jest chyba parę dolarów. Daj je Leviemu. Jeśli ich nie ma, pożycz mu ze swoich, oddam ci później. Jestem trochę do tyłu w tym miesiącu. No już. Idźcie pobierać nauki. Róbcie coś. Cokolwiek.

Kilka minut później, kiedy drzwi zamknęły się za dziećmi, Kiki zwróciła się do męża z wypisaną na twarzy tezą, której każde słowo z osobna i każde odniesienie znał tylko Howard. Uśmiechnął się do niej filuternie, ale uśmiech nie spotkał się z żadną reakcją, więc natychmiast spoważniał. Gdyby miało dojść między nimi do starcia, tylko głupiec postawiłby na niego. Kiki, którą kiedyś, przed dwudziestoma ośmioma laty, gdy po raz pierwszy przestąpili próg swego nowego domu, przerzucił sobie przez ramię jak zwinięty dywan, żeby ją położyć, a potem położyć się na niej, teraz ważyła dobre dwieście pięćdziesiąt funtów i wyglądała na młodszą od niego o dwadzieścia lat. Jej skóra miała tę słynną etniczną zaletę, że nie szpeciły jej zmarszczki, ale w przypadku Kiki tusza wygładzała ją jeszcze bardziej efektownie. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat jej twarz pozostawała twarzą młodej dziewczyny. Piękną twarzą pewnej siebie dziewczyny.

Kiki przecisnęła się obok niego tak energicznie, że wbił się w bujany fotel. Wróciwszy do stołu, zaczęła energicznie pakować do torby rzeczy, których nie potrzebowała w pracy i nie patrząc na niego, monologowała.

– Wiesz, co jest dziwne? Że można być doktorem w jednej dziedzinie, a jednocześnie takim niesamowitym durniem w innych sprawach. Przestudiuj *ABC rodzicielstwa*, Howie. Dowiesz się, że jeśli będziesz postępował w ten sposób, to zdarzy się coś

dokładnie, ale to dokładnie odwrotnego do tego, czego byś sobie życzył. Dokładnie odwrotnego.

– Ależ zawsze przydarza mi się, psiakrew, coś dokładnie odwrotnego do tego, czego chcę – powiedział ponuro Howard, kołysząc się w fotelu.

Kiki przerwała pakowanie.

– Jasne. Nigdy nie osiągasz tego, co chcesz. Twoje życie jest jedną wielką orgią klęsk.

Ostatnia uwaga była aluzją do jego najnowszego przewinienia. Zachętą, by otworzyć kopniakiem drzwi rezydencji ich małżeństwa i wejść do przedsionka katastrofy. Propozycja została odrzucona. Zamiast tego Kiki podjęła tak dobrze znajomą, przypominającą układanie puzzli czynność lokowania plecaczka na środku swoich szerokich pleców.

Howard wstał i ciaśniej owinął się płaszczem kąpielowym.

– Czy mamy przynajmniej ich adres? – zapytał. – Domowy?

Kiki przycisnęła palce do skroni jak czytający w myślach karnawałowy jasnowidz. Potem zaczęła mówić wolno, a choć w jej tonie wyczuwało się sarkazm, miała wilgotne oczy.

– Chciałabym zrozumieć, co ci twoim zdaniem zrobiliśmy. My, twoja rodzina. Co takiego zrobiliśmy? Czy odarliśmy cię z czegoś?

Howard westchnął i odwrócił wzrok.

– Mam we wtorek odczyt w Cambridge. Mógłbym polecieć dzień wcześniej do Londynu, żeby przynajmniej...

Kiki plasnęła dłonią w blat stołu.

– Boże, to nie jest 1910 rok – Jerome może, do diabła, żenić się z kim chce – czy też mamy zacząć wymieniać wizytówki i prosić go, żeby spotykał się tylko z córkami profesorów, których ty akurat przypadkiem...

– Czy ten adres może być w zielonym notesie?

Kiki zamrugała gwałtownie, żeby się nie rozpłakać.

– Nie wiem, gdzie może być ten adres – powiedziała, imitując jego akcent. – Znajdź go sam. Może jest gdzieś zagrzebany w papierzyskach w tej twojej norze...

– Dzięki – powiedział Howard i ruszył po schodach w podróż powrotną do swojego gabinetu.

SPIS TREŚCI

Podziękowania 7

Kippsowie i Belseyowie 9
Lekcja anatomii 177
O pięknie i błędach 371

Od autorki 597

Nagroda Orange Prize for Fiction!
Nominacja do Nagrody Bookera!

Profesorów Belseya i Kippsa łączy zamiłowanie do piękna i podziw dla Rembrandta. Dzieli zaś stosunek do piękna i do Rembrandta, a to wystarczy, by zostali wrogami na śmierć i życie. Gdy Kippsowie przenoszą się za ocean i osiedlają w kampusie, gdzie mieszkają Belseyowie, losy ich rodzin splatają się w nieprzewidywalny sposób, a komplikacje mnożą się jak szalone.

Zadie Smith opowiada historię dwóch rodzin, a przy tym z dystansem i humorem porusza najważniejsze tematy współczesności: zagadnienia tożsamości, rasy, globalizmu i fanatyzmu religijnego.

Zadie Smith ma wszystko, czego trzeba: jest dowcipna, błyskotliwa, obiektywna, pełna spokoju i empatii, wyczulona na samozadowolenie i obłudę i przede wszystkim dowcipna.

„The New York Times"

cena detal. 39,90 zł

ISBN 978-83-240-1613-6
9 788324 016136

www.znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY